NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłaczne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszedzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

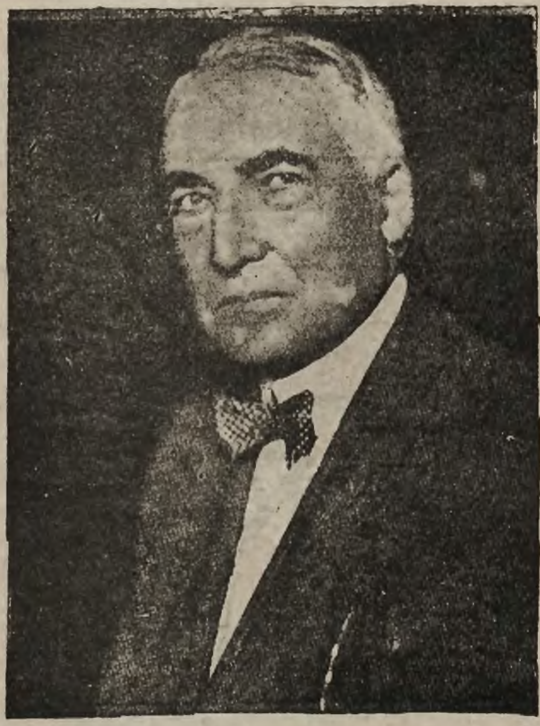
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 6 listopada 1920. Nr 45.

W drugą rocznicę oswobodzenia



Uroczysta zmiana warty na Rynku krakowskim w dniu 31. października b. r.



Walka o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych: Senator Warren G. Harding, kandydat stronnictwa repbl. wybrany prezydentem.

W drugą rocznicę oswobodzenia.

(Do illustracyi tytułowej).

W dniu 31 października b. r. obchodził Kraków uroczyście drugą rocznicę oswobodzenia się z pod rządów austryackich. Czarne, dwugłowe orły z krwią zbroczonymi, choć stępionymi szponami, uleciały ku Zachodowi, miejsce ich zajął Ptak srebrnopióry, noszący dumnie na swej głowie koronę Piastów i Jagiellonów. Dziwnym zbiegiem okoliczności święto naszego oswobodzenia i zmartwychwstania przypadło w przeddzień święta Zmarłych, jakgdyby na stwierdzenie, że czeka nas nowe życie, które nawet śmierć zwycięży, otwierając drogę ku szczęsnej, świetlanej przyszłości, okupionej także takim bezmiarem cierpień, krwi i łez.

Zmiana rządu odbyła się w roku 1918 w sposób spokojny, stanowczy i poważny. Władze austryackie, widząc swą bezsilność, zgodziły się na ogłoszenie samodzielnej i zjednoczonej Polski, którą dotąd łudziły tylko obietnicami, nie mogącemi się nigdy doczekać spełnienia.

Los zrządził przecież inaczej.

Gdy w roku ubiegłym święcono pierwszą rocznicę oswobodzenia, zawiązany w tym celu komitet obywatelski postanowił, że obchód ten ma się odbywać rok rocznie celem upamiętnienia tej ważnej w dziejach naszych chwili i uchwalił stały jej program.

W myśl jego przybrał stary Kraków na dzień 31 października odświętny wygląd. Rojno i gwarno na ulicach, tłumy spieszą ku Rynkowi, gdzie się ma odbyć doroczna uroczystość. Pogoda, choć zimno i chłodno, wymarzona.

O godzinie 10 rano odprawione zostało w kościele Maryackim uroczyste dziękczynne nabożeństwo, po którem uformował się imponujący pochód, złożony z przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych, instytucyi, młodzieży szkolnej i tysięcznych rzesz publiczności, którzy przy dźwięku orkiestr, przygrywających melodye narodowe, przeciągnął Rynkiem wzdłuż linii A B i C-D pod odwach.

Tutaj z wzniesienia, przybranego zielenią, przemówił do zebranych w podniosły sposób Włodzimierz Tetmajer, wskazując na znaczenie tej ważnej chwili tak w dziejach Krakowa, jak i całej Polski.

Po odegraniu przez orkiestrę hymnu narodowego, nastąpiła uroczysta zmiana warty na strażnicy wojskowej i to z zupełnie tym samym ceremoniałem, jak się to odbyło w owym dniu pamiętnym w roku 1918.

W tym celu oddział 13 p. p. przeznaczony na zluzowanie poprzedniego, wyruszył z koszar na Podgórzu, poprzedzony przez orkiestrę kolejarzy. Doszedłszy do Pl. Wszystkich Świętych, zatrzymał i połączył się z delegacyą krakowskiej „Gwiazdy" ze sztandarem, który niósł p. Stróżyński, ten sam, co i przed dwoma laty samorzutnie zainicyował wręczenie go polskim żołnierzom przy pierwszem obejmowaniu przez wojsko polskie warty na głównej strażnicy użyczyła „Gwiazda" oddziałowi swojego sztandaru z białym Orłem, postanowiono też, że odtąd ma to wejść w życie i powtarzać się corocznie.

Po przemówieniu Tetmajera wkroczył oddział na Rynek od strony kościoła św. Wojciecha. Orkiestra kolejarzy przygrywała te same utwory co przed dwoma laty.

Nastąpiła uroczysta zmiana warty, sztandar ustawiono na strażnicy, gdzie pozostał przez cały dzień. Przy oddawaniu sztandaru w ręce wojskowości, przemówił w serdeczny sposób p. Stróżyński.

Wypada zaznaczyć, że pp. Górski i Kisielewski (pierwszy, właściciel kawiarni, dawniej Bisanza, drugi restauracyi w Hotelu Saskim), którzy podejmowali pierwszą wartę polską na krakowskiej wojskowej strażnicy, zobowiązali się pisemnie powtarzać to corocznie, oraz przekazać ten obowiązek swym ewentualnym następcom.

Okolicznościowe przedstawienia w teatrach, odczyty i t. p. dopełniły starannej lecz pięknej uroczystości.

Walka o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Dzień 2. listopada był dla Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej bardzo ważny. W dniu tym stanęło do urny wyborczej czterdzieści milionów uprawnionych, aby oddać swe głosy na prezydenta tego bezsprzecznie najpotężniejszego dziś państwa. Gdy „Nowości illustrow." znajdą się w rękach Czytelników, wynik wyborów będzie znany już i w Europie, w chwili, gdy to piszemy, nie wiadomo jeszcze, który kierunek zwycięży, demokratyczny, czy republikański. To jedno jest pewne, że dotychczasowy prezydent, Wilson, choć kandydaturę jego wysuwano, na powtórny wybór liczyć nie może.

Głównymi zapaśnikami są w tej zażartej walce, jakie od szeregu miesięcy toczą się na całem terytoryum Stanów Zjednoczonych, są: z ramienia demokratów gubernator James M. Cox i kandydat stronnictwa republikańskiego, senator Warren G. Harding. Na rzecz obydwu przybyła cała armia agitatorów, złożona z trzydziestu tysięcy osób.

Jak dziś, w sam dzień wyborów, wywnioskować można z doniesień pism amerykańskich, zwycięstwo padnie na stronę republikanów. Hardingowi wróżą wszyscy znaczną większość głosów. Jego program przypadł Amerykanom bardziej do gustu, niż



Walka o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych: Kontrkandydat Hardinga James M. Cox (demokrata).

zgłoszony przez demokratów, co zresztą można było łatwo przewidzieć wobec stanowiska, zajętego przez Kongres, prasę i większość obywateli w stosunku do polityki, prowadzonej przez Wilsona.

Oba stronnictwa godzą się zupełnie ze sobą we wszystkich punktach polityki wewnętrznej i zagranicznej z wyjątkiem zapatrywań na kwestyę traktatu pokojowego i koncepcyę Ligi Narodów. O ile demokraci hołdują wiernie polityce Wilsona w obu tych kierunkach, o tyle republikanie na nie się nie godzą, wychodząc ze założenia, że każde państwo



Wystawa jesienna w Pałacu Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie: Ściana z pracami H. Uziembły (w pośrodku widok pracowni artysty). Poniżej akwarele Fr. Turka.

powinno samo decydować o swym losie, a nie podlegać nad rządowi, jakim ma być Liga, mająca prawo wglądania i dozoru interesów swych członków. Republikanie stoją na stanowisku doktryny Monroego „Ameryka dla Amerykanów", wolą swej nie chcą innym narzucać, pokojowej współpracy nikomu nie odmówią, ale nie pozwolą na to, aby sami mieli popaść w zależność od Ligi, choć jest ona dziełem Amerykanina.

Zwycięstwo republikanów może się zatem odbić fatalnie na samej Lidze Narodów i sprawie traktatu pokojowego, przyczynić się zatem do dalszego trwania chaosu politycznego, ogarniającego świat cały.

„Dziennik Związkowy" z Chicago podaje z dnia 27 września deklaracyę senatora W. G. Hardinga, republikańskiego kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych:

„Niezawodnie podzielam ogólną sympatyę Ameryki dla słusznych żądań Polski. Odrodzenie tego kraju cieszy nas i wszyscy pragniemy, aby się wzmocnił i żył w bezpieczeństwie. Życzeniem naszem jest, aby Polska zrealizowała te swe postulaty, które, jako wielkiemu narodowi, sprawiedliwie się jej należą. Szczerze pragniemy uczynić dla Polski to, czem, jako wierni przyjaciele, dopomódz jej możemy. Atoli mojem zdaniem Ameryka nie jest w stanie orzec, jakie powinny być granice Polski. Takie orzeczenie byłoby przekroczeniem zasady amerykańskiej, którą zamierzamy ponownie powołać do życia i według której zamierzamy postępować".

Deklaracya ta, opracowana przez sen. Hardinga wraz z sen. Medill'em Mac Cormick'iem (Illinois), i złożona na ręce p. Jana Weldy, kierownika polskiego biura wyborczego przy stronnictwie republikańskiem, oznacza, że jeśli sen. Harding zostanie prezydentem, to Stany Zjednoczone znowu będą hołdowały doktrynie Monroe'go, unikając czynnej interwencyi w polityce europejskiej.

Wystawa jesienna Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie.

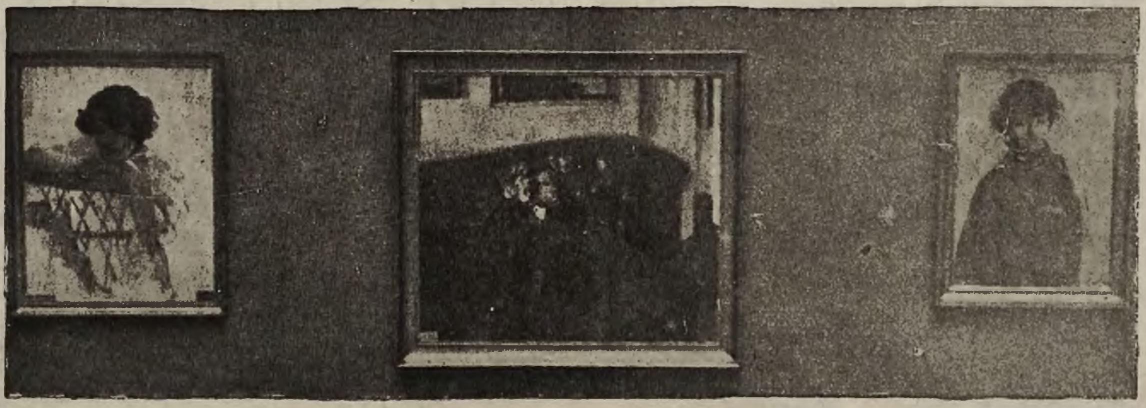
II. Prace A. Karpińskiego i H. Uziembły.

Cechą każdej art. twórczości i to ciągły postęp. Widoczny on jest w obrazach Alf. Karpińskiego zbiorowo wystawionych w Towarzystwie Sztuk Pięknych przy pl. Szczepańskim.

Kto widział dzieła tego artysty w roku ubiegłym lub latach poprzednich, musiał to dążenie zauważyć. A dążenie to ciche i wytrwałe bez nerwowej gorączki, ktora obcą i daleką jest dla zrównoważonego artysty. Serce artystyczne Karpińskiego jest kontemplacyjne, dlatego najwięcej charakterystycznych cech twórczych posiadają jego kwiaty, wnętrza, jednem słowem t. zw. „martwe natury". Na obecnej wystawie widzi się przeto jego róże, kwiaty w wazonach, na stylowych stolikach, nakrytych staremi makatami, czy na płycie fortepianu z nadzwyczajnie wrażliwem i subtelnem sercem oddane. Stonowane są, jak pieśni słyszane zdala, przyprószone mrokiem, jak te stare komnaty krakowskie. Podobnie nastrojone widzi się także jego studya portretowe, szczególnie żony artysty jak n. p. w szalu zielonawym, czy wspartej na poręczy i inne. Wprawdzie surowe ściany ogromnej sali wystawowej — nie były tem tłem, dla którego artysta tworzył, a przestrzeń zbyt wielka, nie okazała się korzystną dla obrazów Karpińskiego, ale wina to już miejsca. Artysta tworzył w zaciszu, w otoczeniu umiejętnie dobranych mebli, i tak sobie trzeba wyobrazić te portrety, oglądając je na wystawie. A malarz, który chciałby odrazu olśnić oczy publiczności i widza obrazem swym zawojować, powinien niezapominać, że przestrzeń, światło i ściany wystawy wymagają czego innego. Takim starym wygą na wszechświatowych wystawach był głośny Zuolaga, ale znów jego obrazy nie były obliczone do szczupłych naszych mieszkań, pełnych pamiątek rodzinnych, drogich sercu sprzętów i troskliwie pielęgnowanych kwiatów pokojowych.

Pejzaży Karpińskiego na wystawie niewiele, ale te, które wystawił, posiadają również owe skupienie, jakie cechuje wszystkie jego prace. Pejzaż, to chwila w przyrodzie, jak wyraz u człowieka, raz jasna, słoneczna, to znów pochmurna, lub groźna, albo zmartwiała i zastygła. Raz będzie ona zimna przed południem, o twardych konturach pod słońce widzianych, to znowu rozgrzana ciągłymi promieniami zniżającego się słońca. Ale zawsze to chwila jedna, a moment ten trzeba uchwycić, jak ptaka w locie, bo za chwilę przychodzi inny, później trzeci i tak w nieskończoność. Pejzaż to nie „martwa natura", pozująca malarzowi całe tygodnie w wygodnem zaciszu pracowni czy mieszkania.

Na obecnej wystawie widzimy jeden taki pejzaż H. Uziembły, malowany w momencie. Jest to pejzaż zimowy, przedstawiający chaty, gdzie szare, ołowiane niebo poplamione marznącą wprost na kartonie akwarelą, zapowiada za chwilę nowy śnieg i słynne zadymki naszej polskiej zimy.



Wystawa jesienna w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie: Prace A. Karpińskiego.

Pejzaże Karpińskiego posiadają jeden nastrój, szczególnie sady. Jednako jasne nieba, przedzierające się białemi plamami poprzez gałęzie i pnie, obielone wapnem, wskazują, jak artysta nawet w przyrodzie szuka dłuższego czasu, aby módz spokojnie się skupić do należytego studyum.

Prócz wymienionej wyżej akwareli Uziembły, gdzie śniegiem prawie przysypało mu wskutek mrozu malować, jest cały szereg studyów tego artysty, na gorąco chwytanych, nastrojów przyrody przekomponowanych w rysunku do formatu poczuciem wrodzonym dekoracyjności, tak dla niego znamiennym.

I czy to będą wnętrza bulwarów paryskich, czy parków, czy widok Wisły z Norbertankami i Wawelem, czy drzewo klonu o płonącej jesienią koronie, czy pałac w porze kwitnięcia bzów, czy zasieki druciane na froncie, czy zmasakrowane bez sensu austryackiemi działami budowle, wszystkie one mają swój odrębny styl, skomponowane jakby dla współczesnych sztuk, do teatru, znakomite swą kolorystyką i ujęciem. Jedne z całą realnością oddane z podkreślonymi z całym naturalizmem szczegółami, inne, jakby do fantastycznych bajek wyszukane, że widz prawie oczekuje, jak ukażą się tam osoby działające.

J. B.



Zmiana na tronie greckim: Venizelos w rozmowie z królem Aleksandrem

Nad mogiłą lekarza-filantropa.

Z grona krakowskiego obywatelstwa ubyła znów jedna postać, której stratę opłakują gorąco cierpiący i biedacy.

W ubiegłym tygodniu zmarł w naszem mieście na chorobę serca ś. p. Dr Mikołaj Buzdygan, ceniony ogólnie specyalista chorób wewnętrznych,

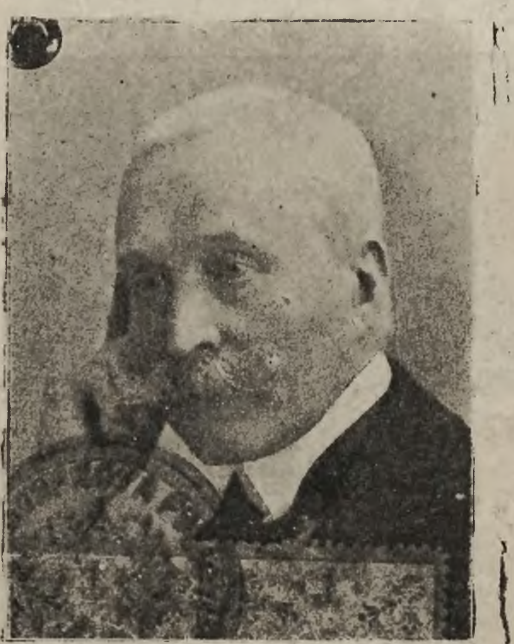


Zmiana na tronie greckim: Wieniec złoty, ofiarowany Venizelosowi za zasługi obywatelskie przez ludność Grecyi.

człowiek o rzadkich dziś przymiotach serca i duszy. Całe swe życie, skromne i ciche, poświęcił cierpiącej ludzkości, a majątek, jaki zebrał, ofiarował na cele dobroczynne, oświadczając, że tak, jak z niczem zaczął, tak z niczem chce z tego świata odchodzić.

Pomnik postawił sobie sam, zakładając i utrzymując swym kosztem ochronkę dla sierót, poświęconą pamięci swego przyjaciela Andrzeja hr. Potockiego.

Ile pozatem łez otarł nieszczęśliwym, wiedzą tylko ci, którzy jego dobrodziejstw doznali, nie szukał bowiem rozgłosu, całe zadowolenie znajdując



Nad mogiłą lekarza-filantropa: S. p. Dr Mikołaj Buzdygan, ceniony krak. internista i opiekun biednych i potrzebujących.

w wewnętrznem przekonaniu, że spełnił tylko swój święty obowiązek. Śmiało też można o nim powiedzieć, że żył nie dla siebie, lecz dla bliźnich.

Jako lekarza, cechowała go gruntowna wiedza i daleko posunięta troskliwość o swych pacyentów, którzy też w zamian darzyli go pełnem zaufaniem. Wychowanek krakowskiej *Almae matris*, pełnił przez szereg lat obowiązki asystenta Kliniki lekarskiej przy boku ś. p. prof. Korczyńskiego, a po ustąpieniu z tego stanowiska oddał się praktyce prywatnej w zakresie chorób wewnętrznych.

Zmarł, licząc lat sześćdziesiąt. Dowodem sympatyi, jaką się ś. p. Zmarły cieszył w najszerszych kołach naszego miasta, był kondukt pogrzebowy, prowadzony przez księcia biskupa Sapiehę i biskupa Nowaka. Wzięły w nim udział liczne rzesze obywatelstwa krakowskiego, odprowadzające zwłoki do wylotu ul. Karmelickiej, skąd je następnie przewieziono do Krzesowic, miejsca rodzinnego ś. p. Buzdygana, gdzie je złożono na wieczny spoczynek.

Cześć Jego pamięci!

Zmiana na tronie greckim.

Z zamętu politycznego, w jakim się znalazł cały świat, dzięki wojnie ostatniej, wyszła Grecya zupełnie cało, a nawet ze zdobyczami terytoryalnemi, a to dzięki swemu wielkiemu mężowi stanu, Venizelosowi, który słusznie może sobie rościć prawo do nazwy „ojca ojczyzny“ i złotego wieńca, jakim go za jego obywatelskie zasługi obdarzyło wdzięczne greckie społeczeństwo. Od pierwszej chwili stał wiernie przy Koalicyi i tej polityce został wierny do końca, choć na dworze króla Konstantyna przeważały wpływy mocarstw centralnych, co doprowadziło do starcia między królem a Venizelosem, z którego ten ostatni wyszedł zwycięsko, a król musiał abdykować w czerwcu 1917 roku.

Dziś dopiero można ocenić, jak mądrą była polityka Venizelosa. Gdyby Grecya była poszła za mocarstwami centralnemi w imię spraw partyi króla, szwagra cesarza Wilhelma, dziś niezawodnie podzieliłaby los Turcyi.

Że tak się nie stało, to dzieło Venizelosa, który śmiało może o sobie powiedzieć: „Grecya to ja!“ Nazwisko jego wiąże się nierozerwalnie z dziejami ojczyzny, która wie i umie ocenić, co mu ma do zawdzięczenia.

Gdy w r. 1917 król Konstantyn musiał abdykować z powodu swych intryg antikoalicyjnych, w które wmieszany był także następca tronu, książę Jerzy, wyłoniła się trudność, kto ma objąć rządy. Wybór padł na najmłodszego syna króla Konstantyna, Aleksandra, który też wstąpił na tron, był jednak władcą tylko z tytułu, w samej bowiem rzeczy rządził krajem Venizelos, grający wobec króla rolę kustosza z ramienia Koalicyi.

Obecnie znalazła się Grecya w podobnie trudnem położeniu jak w r. 1917. Król Aleksander, który był bezdzietny, zmarł skutkiem ukąszenia przez małpę. Sprawa następcy tronu była obecnie tem bardziej zawikłana, że pretendentem do tronu był i zdetronizowany król Konstantyn i przyszły następca ks. Jerzy. Starał się także o koronę angielski książę Connaught, o co toczyły się nawet rokowania między rządem angielskim a greckim. Nie było także wykluczonem, że w Grecyi może być ogłoszoną republika, której prawnego prezydenta upatrywała opinia publiczna naturalnie w osobie Venizelosa.

Widocznie jednak Venizelos doszedł do przekonania, że ta forma rządu nie jest dla Grecyi odpowiednia, skoro zatrzymano nadal ustrój monarchiczny i rządy państwa ma objąć ks. Paweł, syn króla Konstantego, mając przy swym boku wiernego doradcę w osobie ...Venizelosa. Stosunek Grecyi do Koalicyi nie ulegnie zatem żadnej zmianie, ster rządów zostanie bowiem nadal w ręku Venizelosa i prowadzony będzie po linii interesów Koalicyi, z którymi, jak się okazuje, idą i greckie zupełnie równolegle.

Śmierć niespodziewana króla Aleksandra zawiodła wielu. Republikanie sądzili, że znów jedna korona zniknie w przyszłości, król Konstanty i jego zausznicy spodziewali się przy pomocy intryg opanować znowu tron, Anglia miała też swojego pretendenta. Ale Venizelos i tym razem postawił na swojem!



Wystawa jesienna w Pałacu Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie: Prace Fr. Turka.

Zaślubiny Anatola France.

Śmieją się nieraz ludzie, dowiedziawszy się, że człowiek, którego skronie przyprószyła już siwizna, zapragnął jeszcze zakosztować słodyczy małżeńskiego pożycia, jak gdyby to miało być przywilejem tylko młodzieży. I w na pozór wystygłem sercu może jeszcze zapłonąć żar, goretszy nawet i trwalszy, niż u niejednego młodzieńca. I słusznie porównał jakiś filozof takiego spóźnionego kandydata do stanu małżeńskiego z wulkanem, którego szczyt pokrywają śniegi, a wnętrze wre ogniem.

Nasza młodzież do małżeństwa jakoś się nie bardzo kwapi, muszą jej więc dawać przykład starsi, aby ją przekonać, że z jednej strony jest to spełnienie obowiązku obywatelskiego wobec kraju, z drugiej zaś znalezienie dla siebie celu życia. Mając obok siebie osobę, z którą można podzielić radość i zmartwienia i owoce swej pracy, nabawić się chęci do życia i zapewnienia sobie i swoim jak najspokojniejszej przyszłości. A czyż nie jest przyjemniejszy powrót pod dach rodzinny, gdy się wie, że tam czeka kochające serce, które już smaczny obiadek przygotowało, niż w cztery ściany kawalerskiego mieszkania, po którem tylko wiatr hula lub igrają swawolne myszki..

Nie zdziwiło też zapewne nikogo, że znany francuski publicysta, Anatol France, choć bardzo już dawno przekroczył życiowy Rubikon, stanął w niedawnym czasie na ślubnym kobiercu z panną Eloizą Laprevotte. Wybitny filozof i głęboki myśliciel, członek Akademii francuskiej, chluba Francyi, nie uczynił z pewnością tak ważnego kroku pod wrażeniem przemijającej rychło namiętności, ale po należytej rozwadze jak gdyby wzywając młodzież, aby nie zapominała o ciążących na niej obowiązkach, ale wstępowała w jego ślady, bo małżeństwo to przecież „bardzo mądry wynalazek“...

I nasza młodzież powinna sobie przykład Anatola France wziąć gorąco do serca.



Zaślubiny Anatola France: Sędziwy „pan młody“ z oblubienicą, w towarzystwie najbliższych przyjaciół po ceremonii zaślubin.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

16

I.

Donna Klara uśmiechała się wdzięcznie do młodego człowieka. Podczas całej tej rozmowy już od pierwszej chwili zwrócił on jej uwagę, uśmiechała się też ciągle do niego, darząc go kokieteryjnem spojrzeniem wymownych oczu. Kiedy powóz już ruszał, piękna hrabina uścisnęła silnie rękę Roberta, a potem, kiedy obydwaj oddalili się cokolwiek, kilkakrotnie odwróciła się, przesyłając mu raz jeszcze zalotny błysk oczu i uśmiech.

— Kto jest ta kobieta? — zapytał Alimena trochę zaciekawiony.

— Dama z towarzystwa... lub też coś podobnego.

— Awanturnica?

— Trochę.

— Czy bywa przyjmowaną?

— Nie wszędzie.

— Czy jest zamężna? — badał dalej Robert.

— Mąż jej nie żyje już.

— Czy ten hrabia Loredana istniał kiedykolwiek?

— Tak. To szlachta wenecka, zrujnowana trochę.

— Czy to twoja kochanka, Ranieri?

— Nie! Flirt lekki, ale już przerwany.

— Dlaczego?

— Ona jest zazdrosna!

— Ona! — zdziwił się Robert.

— Tamta! Rachela!

— Ah! Ranieri jest wzorowym człowiekiem.

— Jestem tylko człowiek zakochanym — odparł Lambertini. Ale ta straszna namiętność, która mnie i ją pochłania, doradza nam być ostrożnymi.

— Więc to rzecz aż tak poważna? Zdaje mi się jednak, że nie pochłania cię znowu tak bardzo. Widuję cię wesołym, rozbawionym.

— Niema czemu się dziwić! Jestem kochany przez najpiękniejszą dziewczynę pod słońcem.

— Cóż z tego! Kiedy się połączyć z nią nie możesz!

— Oh! Ona musi być moja! — zawołał Ranieri namiętnie.

— Tak! wierzę ci, dla człowieka kochającego prawdziwe przeszkody, istnieć nie mogą!

— Tembardziej, że uciekniemy się do ostatecznego środka.

— Jakiego?

— Uciekniemy razem.

— A dlaczego dotąd nie uczyniliście tego?

— Ona nie chciała. Za dobra jest i uczciwa. Musimy jednak na tem skończyć. Niebezpieczeństwa, jakie nas otaczają, są zanadto wielkie.

— Niebezpieczeństwa? — zapytał z ciekawością Robert, który od pewnego czasu zaczął się żywo interesować wszelkiemi dramatycznemi przeżyciami.

— Tak, a nie mógłbym ci nawet powiedzieć jakie. Ale odkąd kocham Rachelę, jestem śledzony, szpiegowany, kilka razy napastowano mnie na ulicy, otaczają mnie ciągle jacyś żebracy, włóczęgi, posługacze...

— Czy ty to mówisz poważnie Ranieri — wyszeptał Robert, uderzony tym dziwnym zbiegiem okoliczności.

— Najzupełniej; cudownym sposobem uniknąłem kilka razy nieszczęścia, raz koń dorożkarski, którym jechałem, poniósł i o mało nie zostałem zabity.

I przypuszczasz, że było to dziełem twoich ukrytych prześladowców?

— Zapewne.

— Może ojciec jej, rodzina.

— Być może, ale wyczuwam, że poza nimi jest jeszcze ktoś inny, ukryty w cieniu, ktoś potężny i wpływowy, który zaprzysiągł zgładzić mnie ze świata, odkąd kocham Rachelę.

— I ty tak spokojnie mówisz o tem Ranieri?

— Cóż chcesz! Na razie jestem silniejszy od „niego", od tego ukrytego mojego wroga, skoro dotąd nie zdołał mi jeszcze uczynić nic złego, a Rachela jest mi wierna i kocha coraz silniej.

— Lecz zachowujesz się ostrożnie, nieprawdaż? Takich rzeczy lekceważyć nie można.

— Oczywiście — odparł spokojnie Ranieri.

W tej samej chwili, w której wymawiał te słowa, jak gdyby na potwierdzenie ich, ogromna panika zapanowała w tłumie, otaczającym obydwóch przyjaciół. Rozległ się strzał stłumiony, po którym wybuchły trwożliwe okrzyki. Publiczność zaniepokojona strzałem zaczęła uciekać w popłochu, roztrząsając się wzajemnie. Kula z szelestem przebiegła tuż koło głowy Lambertini'ego i skaleczyła konia o kilkanaście kroków dalej. Popchnięci przez tłum Robert i Ranieri dostali się na wolniejsze miejsce, na Plac Wenecki, gdzie przystanęli, patrząc na siebie z osłupieniem. W tłumie rozchodziły się różne pogłoski. Jedni utrzymywali, że strzał padł z balkonu „Hotelu Stołecznego", drudzy twierdzili, że z powozu, w którym siedziało kilka kobiet. Inni jeszcze mówili, że sprawcą zamachu był jakiś nieznany człowiek, który natychmiast po wypadku znikł z przed oczu wszystkich. Robert i Ranieri w milczeniu doszli aż do pałacu Torlonia, gdzie zatrzymali się w głębokiej, szerokiej bramie.



— Nie tak daleko znowu! zabrzmiał nagle koło nich ostry, ironiczny głos.

— Czy nie mówiłem ci? — zaczął swobodnie Lambertini, patrząc z uśmiechem na przyjaciela. — Nieprzyjaciel mój czuwa dobrze nademną.

— Masz słuszność, ale na Boga, któż to być może? — zawołał Robert silnie poruszony.

— Niewiem.

— Rachela twoja nie wspominała ci nigdy o jakim rywalu?

— Nigdy. Być może jednak, że ukrywała to powodowana ostrożnością.

— Czy wierzysz w to, iż masz rywala?

— Wierzę. Musi to być człowiek zły i niebezpieczny, istota dziwaczna jakaś, zdolna do każdej podłości — odparł Lambertini z pewnem podnieceniem w głosie.

— A więc ty także — szepnął Alimena, zamyślając się głęboko.

— Jakto, ja także! Co chcesz powiedzieć?

— Mówię, że ktoś więcej jeszcze znajduje się w analogicznem położeniu i ma do czynienia z podobnemi istotami — odparł wymijająco Robert, bo nie chciał się zdradzić przed przyjacielem z osobistemi sprawami.

— Być może! Co do mnie jestem pewnym, że mam do czynienia z nędznikiem niebezpiecznym,

— Dlaczego nie starasz się wykryć go?

— Rachela nic mi o nim powiedzieć nie chce, bo może lęka się jeszcze czegoś gorszego.

— A kiedy zamierzacie uciekać?

— Jaknajprędzej. Zwierzam ci się z tym zamiarem, jako najlepszemu przyjacielowi Robercie i wiem, że mnie lekkomyślnie nie zdradzisz. Możesz liczyć na mnie. Ale wspominałeś mi, że ktoś cię śledzi?

— Tak, gdziekolwiek się udam, czuję, że ktoś idzie za mną i obserwuje z ukrycia — odparł Ranieri z niechęcią w głosie.

— A więc zamiar twój może zostać odkrytym.

— Nie. Plan mój doskonale jest ułożony.

Robert Alimena uśmiechnął się, bo pomyślał o własnym planie, który miał urzeczywistnić za dwa dni.

— Czy ta młoda dziewczyna zdecydowana jest na wszystko? — zapytał po chwili.

Obawia się ciągle, że ucieczka jej może zabójczo wpłynąć na jej ojca, który ją ubóstwia. Jednakże, już teraz przestała się wahać.

— Będziemy więc zmuszeni pożegnać się wkrótce, Ranieri — wyrzekł smutnie Robert. — Czy zamierzacie udać się daleko?

— Bardzo daleko, bo tego wymaga sytuacya obecna — odparł poważnie Lambertini.

— Nie tak daleko znowu! — zabrzmiał nagle koło nich ostry, ironiczny głos.

Robert i Ranieri odwrócili się żywo. Twarz Roberta pobladła lekko, zdawało mu się bowiem, że już gdzieś ten głos słyszał dawniej. Ale nie ujrzeli nic podejrzanego, wokoło nich tłum bawił się dalej, rzucano i odbierano kwiaty, wymieniając coraz to żywsze słowa i uśmiechy. Silny niepokój ogarnął Roberta.

— Szpiegowano nas znowu — odezwał się Ranieri spokojnie, nie tracąc zimnej krwi.

— To jest jednak ciekawa rzecz! — odparł żywo Robert. — Słuchaj, Ranieri, czy ty nie masz kogo w podejrzeniu? Czy sobie nie możesz wyobrazić kto to jest?

— Tak, niekiedy wyobrażałem sobie...

— No, co? co?

— Ale to może tylko halucynacya zmysłów... fantastyczna wizya — szepnął Ranieri, zamyślony głęboko.

— Ale co... mówże... mów...

— Wyobrażam sobie, że rywal mój jest niski, garbaty, i ma zielone, przenikliwe oczy.

— Co ty mówisz! — zawołał Robert, zadrgawszy mimowoli.

— Tak, tak — twierdził dalej Ranieri coraz pewniejszym głosem. — Mały garbus o zielonych, brzydkich oczach — powtórzył, nie zdając się spostrzegać wzruszenia przyjaciela.

— Widziałeś go więc?

— To było bardzo krótkie widzenie... ukazał mi się i znikł.

— Wiele razy?

— Trzy razy. Jednego wieczora spotkałem go na ulicy, na której mieszka Rachela. Przeszedł szybko obok mnie, przenikając mnie spojrzeniem szklanych, niemiłych oczu.

— Tak, on ma szklane oczy — wyszeptał Robert jak we śnie.

— Straszne, okropne spojrzenie! Innym razem, jakie to dziwne nieprawdaż? Spotkałem go na schodach mojego domu. Rzuciłem się za nim, ale go dopędzić nie mogłem.

— Uciekł — co?

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

19 I.

— No, patrzcie państwo — szepnął w pewnej chwili ex obywatel do hrabiego Gucia. — Nie przypuszczałem, że u tych świeżo upieczonych parweniuszów spotkam się z taką dobrą kuchnią... Ten sandacz z jajami wyborny, nie uważa hrabia? I wina dobrze dobrane i zastawa wcale... wcale...

— Niech podziękują swojemu służącemu. To stary rutynista. Oni dali pieniądze, a resztę on obmyślił — odparł hrabia Gucio, sięgając po napełniony kieliszek. — Popatrz no pan na tę starą Szulcową — okaz co? Rybę nożem zawija. Tłuste palce obwiesiła pierścionkami aż po paznokcie. Oh! quel sales types ces charcutiers! Daleki jestem od bolszewizmu, ale na honor radbym, żeby tamci się do nich wzięli i ujęli im trochę sadła i złota z kieszeni.

— W miłych czasach żyjemy — westchnął głęboko ex-obywatel, dobierając sandacza z półmiska. — My z torbami niedługo pójdziemy, a oni swoje naszemi fortunami napełniają. Ta Kaśka w ceglastej sukni, to podobno przeszło milion koron posagu mężowi wniesie. Na słoninie się dorobili. Baronek będzie opływał jak pączek w maśle.

— Żeby tylko miał czas dobrać się do tego posagu. Podobno coraz z nim gorzej. Dawne grzeszki się odzywają... tabesik postępuje... Kaśka na wózku wozić go będzie.

— Ale do tytułu się dobierze...

— Hm! — mruknął po chwili namysłu hrabia Gucio, spoglądając ukradkiem na swojego towarzysza. — Wie pan, że ja wcale baronowi za złe nie mam, że się z tą Szulcówną żeni. To są nasze pieniądze, dlaczego do nas powrócić nie mają?

— No, tak, pewnie... — wycedził ostrożnie ex-obywatel, zatapiając wzrok w talerzu — nasze pieniądze, oczywiście, że nasze, ale żeby tak wrócić do nas mogły bez tych dodatków. Ta Szulcówna, to poprostu ordynarna dziewka. Une fille de basse — cour. I sadłem od niej czuć o milę. Ah! fi! l'horreur! Z taką pokazać się na Riwierze!

— To też takiej, mój kochany panie, nie pokazuje się nigdzie. Jakże sobie to pan wyobraża... Do naszej starej marszałkowej może ją na fixe wprowadzić. — Ha! ha! ha! — zaśmiał się hrabia Gucio serdecznie. — Tableau! O czemże by taki szturmak mógł mówić? Chyba o cenie kiełbasy i słoniny? Taką, jeżeli się z nią koniecznie żenić potrzeba, zamyka się na cztery dobre zamki w domu, wywiózłszy przedtem za góry i lasy, a samemu używa się dobrze opłaconego nazwiskiem posagu... A zresztą, cher ami, czy z takiem czupiradłem koniecznie żyć potrzeba? Niema to rozwodów, separacyi? Zaręczam panu, że nasz baronek ani nawet na pół minuty nie pokaże się po ślubie ze swoją „belle-maman" pod rękę. Już ja go znam! Złapie pieniądze i jeżeli tylko przedtem nóżek nie wyciągnie — strzeli sam za granicę nadwyrężone kosteczki grzać pod włoskiem niebem.

— Ah! pewnie, pewnie, — przytakiwał już ex-obywatel, nabierając animuszu pod wpływem wypitych już kilku kieliszków wina. — Żebym taki stary nie był, tobym się sam może pokusił o taką złotodajną włochnę... Ale dlaczego to pan hrabia nie popróbuje? Tradycye, co? Stara hrabina by larum podniosła i do Rzymu na pokutę zawiozła niegrzecznego synka?

— Et! dworujesz pan sobie ze mnie — żachnął się niecierpliwie hrabia Gucio. — Pełnoletni dzięki Bogu jestem. Tradycye! — tradycye! — Ładna to rzecz, ale oprawy potrzebuje pańskiej.

— Pewnie! pewnie! ja też na miejscu pana hrabiego sięgnąłbym ręką po róg obfitości, który sam do mnie się skłania. Już od chwili obserwuję tę Gawlikównę... Ciągle zerka w stronę naszą, a chyba nie na mnie parol zagięła, bo tytułu nie posiadam i sześć krzyżyków na karku noszę.

Hrabia Gucio zaśmiał się cicho i mimowoli spojrzał w stronę Kazi. Wyprostowana, z błyszczącemi oczami kokietowała niby pozornie chudego kapitana od dostaw wojskowych, ale spojrzenie jej wymowne, zaczepne, raz wraz płynęło rozmarzone już trochę ku hrabiemu, zatrzymując się na nim coraz dłużej.

— No i co? Jakże pan hrabia myśli reagować na tę zaczepkę? — zapytał cicho ex-obywatel, pochylając się do towarzysza. Teraz i maman Gawlik uwagę zwracać zaczyna. Błogi uśmiech wykwitł na jej cynamonowej twarzy i zdaje się, że radaby już hrabiego przytulić do swojej macierzyńskiej piersi...

Hrabia Gucio zaśmiał się z zadowoleniem.



— Chodź, cher ami do mnie! Mam tam jeszcze niezgorszą buteleczkę likieru...

— Mądry ptaszek z pana — rzekł do sąsiada. — Słyszy pan jak trawa rośnie. No, jakże mi pan radzi. Czy mam się zaawanturować w tę sprawę, czy nie? Mamę Gawlik bardzo jeszcze czuć pieprzem i naftą, a Gawlika mydłem z jego golarni. Świeżo wyklute matadory pieniężne — za świeże, naprawdę, za świeże. Ot, widzi pan, Szulcowie, choć to jedna rodzina, już cokolwiek pokostu jakiegoś nabrali. Ludzie zapominają już po trochu i masarnię ich i słoninę, na której nas okradali... Żeby to choć naprawdę wiedzieć można, jak z kasą papy Gawlika. Czy solidne ma fundamenty... bo jeżeli „le jen ne vant pas la chandelle"...

— Phi! — dmuchnął przez nos ex-obywatel. — Co tu dziś pewnego w takich czasach. Gawlik, możnaby powiedzieć, trafił na dobrą paszę. Czy utrzyma się dalej, niewiadomo. Jeżeli jednak hrabia seryo myśli o tej sprawie, radziłbym się śpieszyć i wykorzystać co się da. A potem niech się z nimi co chce dzieje — zaśmiał się cynicznie. — Hrabia przecież sam wspominał, że są rozwody... separacye.

Tymczasem przy drugim końcu stołu rozmowa stawała się coraz bardziej ożywioną i ogólną. Wszystkich poruszał najaktualniejszy temat: afery paskarskie, choć wszyscy tu zebrani sami paskarzami byli mniej lub więcej oficyalnie.

Ludzie ci, którym niejedno już ciążyło na sumieniu, zapominając na chwilę pod wpływem dobrej kolacyi i mocnych win o własnych interesach, jak hyeny żarłoczne rzucili się na drugich, szczęśliwszych jeszcze od siebie, bryzgając na nich żółciową zazdrością i nienawiścią, radując się wzamian chwilowem niepowodzeniem rywala.

— Ale z tej afery naftowej — brzmiał nad wszystkimi potężny głos Górkiewicza — to nieładne wychodzą historye. Prokuratorya jest na tropie wielu poważnych ludzi, zamieszanych w tę sprawę. Interes szedł na wielką skalę. Urzędnicy, wydający pozwolenia na wywóz produktu, byli przekupieni i fałszowali podpisy. I jak zawsze w takich wypadkach, lekkomyślność jednego naraziła wszystkich. Któryś z interesowanych pochwalił się publicznie, że posiada sfałszowane pozwolenie i całe konsorcyum wykryto.

— To samo było z aferą z paszportami do Wiednia — odezwał się jegomość o semickim typie. Żydzi grube pieniądze sypali za uzyskanie paszportów, by tylko módz tam pojechać za zakupnem tańszego towaru, którego przewóz równie dobrze opłacali i cała historya się wydała, bo ktoś nieopatrznie się zdradził. W takich interesach dyskrecya i milczenie to złoto. Najgorzej, jeżeli wmięszane są w spółkę kobiety. Taka prędzej czy później wygada się i w łeb wszystko bierze.

— Nie takie to straszne, jak się zdaje — rzucił od końca stołu hrabia Gucio, który przychwycił niespokojne spojrzenie Gawlika. — Zaręczam panom, że sprawa naftowa, jak zwykle w takich razach bywa, przejdzie do porządku dziennego. Za wiele tam wmięszanych osób ze sfer wpływowych, ażeby chcieli dopuścić do rozgłosu i skandalu.

— Ja tobym takiego idyotę, co się sam zdradza i naraża drugich, sam chętnie zamknął w kryminale — oburzył się Szulc, uderzając ręką o stół. — Jak głupi, to niech się do interesów nie bierze. A czasem to taka kanalia się trafi, że z samej zawiści drugich wsypie. Sam ma naprzykład po uszy, ponakradał i poszwindlował na wszystkie strony, a pójdzie i innego oskarży i jeszcze na tem zyska, bo przez takie postąpienie sam ze siebie podejrzenie zrzuca.

— A jakże, a jakże — potwierdziła skwapliwie Szulcowa, zerkając ukradkiem na Gawlikową. — To tylko przez zazdrość, że inni więcej mają. Ja zawsze mówię mojemu Wincentemu i Wikci, żeby się takich zazdrośników strzegli jak zarazy. Pożałują człowiekowi trochę tego dobrobytu i sprytu i najniewinniej nieszczęście na głowę sprowadzą.

— Jak kto sam ma więcej, niż przejeść może, to byle komu nie zazdrości — rzuciła z naciskiem Gawlikowa. I podpierając się łokciami na stole, wyzywającem spojrzeniem zmierzyła Szulcową.

Gawlikowa już od dłuższej chwili zdradzała silne podniecenie. Stare wino, do którego przyzwyczajoną nie była, uderzyło jej do głowy. Na żółtą jej twarz ceglaste wystąpiły rumieńce, oczy rozbłysły. Już za wiele jej było tego milczenia, narzuconego jej przez Kazię, te oryzującą ja przez stół surowem, nakazującem spojrzeniem.

— Cóż to — myślała — nie za moje to pieniądze jedzą i piją? Dlaczego nie mam mówić tak, jak mi się podoba. Taka Szulcowa pomyśli, że jej się boję. Właśnie! ja jej pokażę, że ja tu panią w swoim własnym domu i lepsza sto razy od niej.

Poprawiła się na krześle i nawet nieznacznie rozpięła parę haftek stanika, cisnącego ją zanadto. Byłaby z ochotą zrzuciła z siebie suknie i wyciągnęła się na łóżku, zapominając o bożym świecie, jak się to jej często zdarzało dawniej na ulicy Felicyanek, kiedy to w towarzystwie Olearczykowej wypiła za wiele herbaty z rumem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

24

— Dziękuję, madame.

Powstał z krzesła.

— Pani mi wybaczy flanelowy garnitur?

— Lubię to nawet, prawda Nigel?

Mówiła obojętnie, prawie machinalnie i weszła do domu.

W saloniku na stole, leżały w nierozerwanych jeszcze opaskach dzienniki, nadesłane z rana. Wzięła jeden z nich ze sobą i kiedy się znalazła w swoim pokoju, otworzyła go, szukając kroniki światowej. Ah! oto notatka o Lady Harwich. „Urodziny dwóch synków bliźniąt hrabiostwa Harwich, wywołały radość w towarzyskich kołach, gdyż Lord i Lady Harwich są ogólnie znani i poważani. Chrzest dzieci ma się odbyć w Królewskiej Kaplicy Pałacu St. James i jego Królewska Mość będzie ojcem chrzestnym. Przed tym szczęśliwym wypadkiem spadkobiercą tytułu i przywiązanych do niego majątków był Hononrable Nigel Armine, który niedawno poślubił dobrze nam znaną Mrs. Chepstow i który jest od Lorda Harwicha o dziesięć lat młodszy".

Teraz, widząc, że wiadomość ta jest wydrukowaną, Mrs. Armine odczuła jeszcze dotkliwiej tryumf lady Harwich i swoją własną porażkę. Jaki uśmiech zadowolenia musiał widnieć na ustach wielu kobiet, ani trochę nie lepszych od niej samej! I Nigel ją w to wpakował! Wargi jej zadrgały na wspomnienie chłodnych, amerykańskich oczu Lady Harwich, która nieraz na nią spoglądała z wyższości żywej lecz uczciwej kobiety, co doprowadza do wściekłości kobiety nieuczciwe i z tego znane.

Położyła dziennik; podeszła do okna i wyjrzała. Z ogrodu wznosił się zapach kwiatów, które dają nocy, co mają najlepszego. W oddali, na prawo, jaśniały na ciemnem tle kolorowe światła. To była Dahabijah Barondi'ego.

Kobiety uśmiechały się, w Londynie, ciesząc się z jej niepowodzenia. Patrząc na linię lamp, miała wrażenie, że patrzy na linię ironicznych oczu, oczu, które jej się przypatrywały i czytały prawdę jej natury.

Zawołała Marie i znowu się przebrała.

Gdy była tem zajęta, Nigel, odprowadziwszy Barondi'ego do gościnnego pokoju, poszedł na górę i chciał wejść do jej sypialni.

— Nie można! — zawołała.

— Nie zmieniasz chyba sukni?

— Nie mogę jeść obiadu w płóciennej.

— Lecz my obaj jesteśmy.

— Mężczyznami, a ja jestem kobietą i nie mogłabym jeść obiadu w płóciennej sukni. Nie przeszkadzaj mi Nigel.

Słyszała, jak mył sobie ręce i wyszedł. Wiedziała bardzo dobrze, że lekki ton, którym mu odpowiedziała, dotknął go i że się „czuł źle".

Kiedy mały gong oznajmił obiad, zeszła w blado-żółtej sukni, z pękiem ponsowych kwiatów przy staniku; nie miała na sobie klejnotów, ani żadnej ozdoby we włosach. Kiedy weszła do pokoju, Nigel doznał wrażenia, że to wszedł ktoś zupełnie obcy. Dlaczego? Zadawał sobie to pytanie, patrząc na nią uważnie i szukając odpowiedzi. Wyglądała dziwnie, nienormalnie jasno. Czy, pomimo jego przedstawień z rana użyła szminek? Czy białość jej cery była bielsza niż zwykle, albo jej wargi nie czerwieńsze? Nie wiedział co uczyniła — a nawet czy uczyniła — lecz czuł się zmieszany, nieswój. Pragnął być sam z Ruby, uzyskać jej przebaczenia za to, że ją uraził z rana. Nienawidził zapory, która była między nimi i czuł, że ją stworzył swą nieufnością. Kobiety są zawsze wrażliwsze niż mężczyźni, a któż jest wrażliwszy niż powstająca Magdalena, otoczona nieufnością, ironią, zdziwieniem? Czuł, że tego rana sprzeniewierzył się sam sobie, że tym brakiem wysokiego ideału w postępowaniu, zadał cios drżącej cnocie, która zbierała swe siły, by iść naprzód, w światło.

Podczas obiadu, każde spojrzenie Ruby, jej ton głosu, suchy, całe zachowanie się, utwierdzały go w uczuciu potępienia siebie. Bezwątpienia, była zmienioną. Znużona i zadumana kobieta, którą pozostawił w ogrodzie, kiedy się udał na dahabijah, ustąpiła miejsca kobiecie ożywionej, świetnej — kobiecie, która mogła być śmiałą, prawie wyzywającą i która może mogła mu odpłacić za boleść, którą jej zadał. Obiad był zupełnie dobry i Mrs. Armine nie miała za co przepraszać.

Barondi grzecznie chwalił kuchnię. Czuła jednak za tą pochwałą ukrytą wielką powściągliwość i przypomniała sobie czasy, kiedy jej „chef" był najsławniejszym w Londynie; dostarczył go jakiś milioner, jeden z jej kochanków. Wspomniała o tem Barondi'emu. To był postępek pospolity, a w gruncie pospolitą nie była, lecz była powodowana dwoma chęciami: czuła w swym gościu oryentalny, prawie romantyczny podziw dla bogactwa i pragnęła zwrócić ten podziw na siebie, a nadto chciała ukłuć jeszcze więcej Nigla.

— Pan wygląda trochę na epikurejczyka, Mahmond-Barondi — rzekła. — Przypuszczam, że pan słyszał o Armand Carrier?

— O najlepszym „chef" w Europie, Madame? Jak mógłbym o nim nie słyszeć od moich przyjaciół w Paryżu?

— Służył u mnie przed pięciu laty.

Nastała chwila milczenia. Nigel nagle poczerwieniał. Barondi zwrócił powoli swe wielkie oczy z Mrs. Armine na niego i zauważył spokojnie.

— Winszuję państwu. Posiadaliście skarb. Lecz dlaczegoście się z nim rozstali?

Zwrócił się z tem pytaniem do Nigla.

— Nie służył u mnie — rzekł Nigel, z nagłą, prawdziwie angielską sztywnością, która była bliską wyniosłości. — To było dawno, przed naszem małżeństwem.

— Oh! tak. Lecz co za szkoda! A zatem nie miał pan przyjemności jego znakomitych „platr".

— Nie; nie dbam o takie rzeczy.

— Doprawdy?

Zaczęli rozmawiać o czem innem, Nigiel stracił swoją bonhomię i nie mógł jej odzyskać.

Barondi, jako dobry Mahometanin, nie pił wina, lecz kiedy podali owoce, Mrs. Armine wstała.

— Zostawię panów samych — rzekła — zastaniecie mnie na tarasie. Pomimo, że Mahmond-Barondi nie pije, jestem pewna, że woli męską rozmowę, niż kobiecą gadaninę.

Barondi grzecznie, lecz trochę obojętnie zaprzeczył.

— Lecz coby pani powiedziała — dodał — na moje zaproszenie na czarną kawę i likiery do Winter Palace Hotel? Dzisiejszego wieczoru jest tam pierwszy występ węgierskiej orkiestry, którą przeszłej zimy sprowadziłem do Egiptu i która, jak słyszałem — nie jestem może dobrym sędzią zachodniej muzyki — gra bardzo dobrze. Co państwo na to mówią? Czy to byłoby pani przyjemnie, madame?

— Tak, chodźmy! Pójdziemy — zwróciła się do Nigla.

— Naturalnie, jeżeli chcesz. Lecz czy możesz iść w tej sukni?

Skinęła głową.

— Zupełnie sucho na dworze. Wrócę za chwilę.

W ócila, trochę przed dziesiątą we wspaniałym gronostajowym płaszczu, na głowie miała żółty toczek, z wysoką egretką z boku.

— Jestem gotowa! — zawołała.

— Co za piękny płaszcz! — rzekł Nigel; nie widział go przedtem. Dotknął się go delikatnie palcem, i spojrzał na nią, puścił płaszcz i usunął się trochę gwałtownie.

Kiedy weszli do hotelu, muzyka już grała w hell'u i goście rozdzieleni na małe gromadki, słuchali, siedząc przy stolikach i pijąc turecką kawę. Sezon dopiero się zaczął. Wędrówka nad Nil się nie zaczęła i podróżni nie zawarli jeszcze bliższych stosunków i znajomości. Patrzali na siebie obojętnie, a nawet nie zwracali uwagi, odwracając się jedni od drugich plecami lub profilami, zdającymi mówić: „nie chcemy mieć z tobą żadnych stosunków, dopóki nie dowiemy się szczegółów o tobie".

Wejście towarzystwa z willi Audrond, wywołało silną dywersyę. Jak tylko Barondi został spostrzeżony przez służbę, uczynił się ruch na jego przyjęcie. Wysocy Nubijczycy, biało i czerwono ubrani, uśmiechali się, saalamowali, ukazując ukontentowanie i chęć, żeby ich zauważył. Hal'porter, niemiec, pospieszył na powitanie, z szerokim uśmiechem na twarzy, dyrygient, rodowity węgier, zaczął grać z zapałem i czarny gentleman w złotej i szkarłatnej szacie, wyglądający na jakiegoś wschodniego księcia, a w rzeczywistości, zarabiający na życie w kontakcie z windą na pierwsze piętro, przyskoczył do stolika.

Barondi przyjmował te wszystkie atencye z obojętnością, która nie miała w sobie nic z zarozumiałości. Jak siedli, kazał przynieść kaw i likiery, i słuchali muzyki, która była dobrą i posiadała ogień, a zarazem melancholię węgierskich skrzypków. Nigel palił. Wyglądał zasłuchany, nie zaczynał rozmowy i trzymał oczy spuszczone. Mrs. Armine zdawała się także słuchać uważnie, lecz nie upłynęło pięć minut, a już obejrzała bliżej nich siedzących gości, odgadła ich narodowość, skrytykowała suknie i powierzchowność kobiet, wyrobiła zdanie o towarzyszących im mężczyznach i o węzłach rodzinnych lub sercowych, które ich łączyły. Uczyniła więcej; z wprawą mądrej kobiety, która lata całe żyła w wielkim świecie i w pół świecie, zmierzyła wysokość ciekawości, zainteresowania, podziwu, zazdrości, potępienia, które wzbudziła.

Blisko nich, lecz nie równo z ich stolikiem, trochę za nim, na prawo, siedzieli Lord i Lady Hayman w towarzystwie Lorda i Lady Murchison, bawiących się i lubiących rozrywkę ludzi, których było wszędzie pełno i którzy nie opuszczali nigdy sposobności, gdzie ich „tet" mógł być na widoku. Lady Murchison była ładną, mściwą blondynką, rodzaj kobiety, która, zdaje się, ugryzie cię, jeżeli nie zejdziesz z jej drogi. Uśmiechała się teraz złośliwie i szeptała do Lady Hayman, okazalej, lecz mocno wyciśniętej osoby z zanadto krwistą cerą, niedostatecznie przykrytej pudrem i z zanadto autokratycznem usposobieniem, za mało mitygowanem przez Lorda Heyman.

Ci ludzie — Mrs. Armine czuła to „w swych kościach" — tylko co czytali „Morning Post". Tutaj, w Egipcie, przedstawiali „Londyn!" Widziała wyrok Londynu, w ich chłodnych uśmiechach, w chwilach uwagi zwrócony na nią — uwagi twardej, zuchwałej, zimnej jak stal — w spojrzeniach pełnych litości, połączonej z rodzajem prawie uczniowskiej zabawy, które obaj mężczyźni rzucali na Nigla.

Z „Londynu" przeniosła swój wzrok na „Egipt", którego przedstawicielem był Barondi. Wychodząc za Nigla, pragnęła zdeptać Londyn, który nią pogardzał; miała nadzieję podeptać kiedyś, jako Lady Harwich nie jedną kobietę, którą znała, zanim została z towarzystwa usuniętą. Tajemnie na to liczyła, jako na coś pewnego, na coś, na co trzeba tylko zaczekać. Lord Harwich był zużyty, niedbający o swe zdrowie, podlegający ciągłym wypadkom, ciągle sobie łamiącym kości. Miała tylko czekać. A teraz — bliźnięta chłopcy i cały Londyn się śmieje.

Spojrzała znowu na Barondi'ego. Ognista i melancholijna muzyka porwała ją i uniosła w dal.

Kiedy się skończyła, czuła się daleko od „Londynu", od dawnych ambicyi i nadziei. Wielkie oczy Barondi'ego spoczywały na niej i zdawały się czytać jej myśli i teraz poraz pierwszy uczuła się jakoś nieswoja, pod ich przenikliwem spojrzeniem, pragnęła, czuła potrzebę uciec, ukryć się przed ich czujnością.

— Czy masz już dość muzyki, Nigel — rzekła, jak skrzypki podnieśli głowy z ponad swych instrumentów i opuścili ramiona.

Drgnął.

— Co, Ruby? Na Jowisza! dobrze grają!

W jego oczach był wyraz, jaki ma człowiek, który, po długiej podróży w ciemnościach wraca w dzienne światło. Ta muzyka, postawiła go przy dziewczęciu, które kochał, i które dawno umarło. Teraz patrzał na kobietę, która żyła, do której zwrócił swą wielką siłę miłości, w której tę miłość skoncentrował.

— Możebyśmy wrócili do domu — rzekła.

— Już masz tego dość?

— Nie, nie to, jestem zmęczona — odrzekła.

Mówiąc to umyślnie, choć nieznacznie skierowała jego wzrok na Murchison'ów i Haymanów, pozwoliła mu ulitować się nad tem, że jest tak obserwowaną i wziąść to za przyczynę jej chęci powrotu do domu. Być może, że to było także przyczyną, lecz nie jedyną i nie taką, jakiej pozwalała się domyślać.

— Zaraz cię wyprowadzę — rzekł Nigel serdecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Korzystając z minionego dnia Wszystkich Świętych, składa kronikarz w imieniu swojem i zacnej Weroniki wszystkim P. T. Czytelnikom serdeczne acz spóźnione życzenia wszelkich pomyślności, zdrowia, szczęścia, fortuny, a po najdłuższem życiu „niebieskiej marki“, skoro korony, wyrokiem pana ministra Grabskiego zostały już wycofane z obiegu (na „czarnej giełdzie“ kursują jeszcze i są nawet wysoko rentowane!...)

W pierwszym rzędzie, jak sama grzeczność każe, należą się życzenia Czytelniczkom, bez względu na wiek, tuszę i wzrost, potem dopiero przychodzi kolej na płeć brzydką. Pierwszeństwo mają tutaj znowu ci, którzy są prenumeratorami „Nowości illustrowanych“ a dopiero w dalszym ciągu czytający je „za darniczkę“ po kawiarniach i restauracyach. Celem odebrania życzeń należy się osobiście zgłosić i ustawić „w ogonku“.

Każdemu z Czytelników nie może ich kronikarz złożyć we właściwy dzień ich Patrona, mógłby się bowiem z tego powodu znaleźć w kłopocie, mając do wyboru naprzykład siedmnastu Janów w roku, wybiera zatem wspólny dzień imienin i życzy, jak wyżej, wszystkim razem i każdemu z osobna. Prezentów nie rozsyła, gdyż go na to nie stać, przyjmuje je natomiast bardzo chętnie, nie kładąc tamy dobroczynności. Wskazane zaś byłyby rzeczy praktyczne, jak artykuły spożywcze (ale podlegające łatwo zepsuciu), kosztowności, dzieła sztuki (o ile się zbierze poważna galerya zobowiązuje się potem ofiarować ją miastu z warunkiem, by go zamianowało dożywotnim kustoszem i zapewniło w ten sposób spędzenie ostatnich dni życia w przytułku dobroczynnym...), papiery wartościowe i t. p.

Znając czułe serca, zwłaszcza Krakowian, nie wątpi, że... nad jego apelem przejdą do porządku dziennego, choć sam podzieliłby się z ogółem wygraną, o ile naturalnie kupi czteroprocentową premiówkę i na nią padnie milion. A pierwsze ciągnienie już w sobotę, dnia 6. listopada!

Nazajutrz po uroczystości Wszystkich Świętych przypadał Dzień Zaduszny, poświęcony pamięci zmarłych. Zasnęli już snem wiecznym, więc nie wypada im przerywać wiecznego spoczynku, żyjący nie dają im przecież spokoju i na tamtym świecie. Dotąd działo się to w sposób dość starozakonny, obecnie grozi mu poprostu katastrofa!

Zły przykład daje przedewszystkiem magistrat, nazywający cmentarz miejscem **wiecznego spokoju**, a urządzający ewakuacyę nieboszczyków co lat dwadzieścia, aby na ich miejsce mogła przyjść nowa serya. Spokój mają jedynie „cmentarni kamienicznicy“, to jest posiadacze familijnych grobów. Nawet na cmentarzu mają protekcyę, gdy natomiast z proletaryatem zmarłych nikt się nie liczy, choć służyli miastu wiernie i nawet po śmierci głosowali lojalnie na listę magistracką.

Magistrat niepokoi jednak tylko ciała zmarłych, a raczej ich resztki, gdy natomiast pewna część społeczeństwa nie daje spokoju ich duchom, wywołując je w najrozmaitsze sposoby i kłopocząc im głowy rozmaitemi głupstwami. Wirujące stoliki, talerze, samopiszące ołówki wchodzą znów w modę. To, co działo się lat temu pięćdziesiąt, powraca wzmożoną falą i zatacza coraz to szersze kręgi. Wywoływanie duchów weszło w modę, poświęcają mu „fachowe“ artykuły nawet pisma codzienne, chcąc uchodzić za poważne. Każdy próbuje, czy przypadkiem nie ma zdolności w tym kierunku, na szczęście dla duchów nie każdemu się to udaje. W najbliższej przyszłości będzie przecież inaczej. Obejdzie się bez „fluidu“, nie trzeba będzie szukać medyum, łamać sobie głowę nad teoryami Eusapii Palladino, Ochorowicza, Czyńskiego (ale nie tego, który robił w Jarosławiu takie doskonałe pierniki!...), Rawicza lub Czerbaka — wystarczy do tego najzwyklejsza maszynka, którą będzie można nabyć w pierwszym lepszym sklepie z przyrządami elektrycznymi.

Są bowiem, jak powiedział filozof, na świecie rzeczy, o których się nikomu nawet nie śniło, a do nich należy najnowszy wynalazek Edisona, który, w miarę tego, jak się starzeje, staje się coraz genialniejszy, a na zbliżającą się setną rocznicę swych urodzin przygotowuje coś takiego, o czem dotąd naprawdę nikt nie śnił, nawet sprawiedliwi, którzy, jak wiadomo, mają sen bardzo spokojny. Czegoś podobnego i w „Senniku egipskim“ nie znajdzie, gdyby się zatem komu przyśniło, byłby odnośny osobnik w kłopocie, nie wiedząc, co to znaczy.

Mamy dotąd maszynki do golenia, gotowania kawy, siekania mięsa, zapalania i różne inne, obecnie, będziemy mieć maszynkę do rozmawiania z duchami przy pomocy elektryczności. Będzie to zatem rodzaj telefonu bez drutu, łączącego nas z tamtym światem. Obejdzie się bez radyum, wystarczy nakręcić maszynkę, zawołać do tuby „hallo!“... i duch już jest. Ludzie służący dotąd za medya, jak naprzykład słynny Grosik pani Siemaszkowej lub panna Helena Smith z Genewy, mająca stosunki z Marsem, stracą zupełnie swe dawne znaczenie.

Wynalazek zaiste genialny!... Czytając o nim, kiwał głową nawet Kamil Flammarion, który, jak wiadomo, jest „za pan brat“ z duchami.

I można sobie wyobrazić, jaką konsternacyę wywołać musiała ta wiadomość na tamtym świecie, jeżeli tam już doszła. Dotąd, dzięki temu, że nie każdy mógł się bawić we wywoływacza duchów, panował tam względny spokój i teraz, gdy to będzie można załatwić „maszynowo“, duchy zmarłych nie będą się mogły opędzić ciekawości żyjących, a twierdzenie o „wiecznym spokoju“ stanie się absurdem. Chyba, że po obopólnem porozumieniu zostanie uchwalony regulamin, którego będą się zmuszone trzymać obie strony, to jest tak „wołacz“, jak wołany.

Dotąd radziły sobie także duchy, jak mogły, byle mieć spokój.

I Weronika, idąc za duchem czasu, zaczęła utrzymywać bliższe stosunki z duchami, o co kronikarz nie jest bynajmniej zazdrosny. Ale, jak dotąd, nie udaje się jej to, nie wiadomo z jakiego powodu. Albo jej „fluid“ jest jakim surogatem wojennym, albo medyum niewłaściwe, a funkcye te pełni służąca Kasia, bardzo dumna z tego zaszczytu, jaki ją spotyka, że razem z panią urządza seanse w salonie, do którego nawet kronikarzowi, choć jest niby to panem domu, wejść nie wolno, — aby podłogi nie porysował, bo niedawno zapuszczona, a farba taka droga.

Być może, że Weronika i z tego powodu osiąga ujemny skutek, iż sięga zbyt wysoko, chcąc rozmawiać z samymi cesarzami, królami i tym podobnymi. Niedawno wywoływała ducha Nerona, ale otrzymała od któregoś z jego szambelanów odpowiedź, że... „jego cesarska mość bardzo przeprasza, ale jest w tej chwili w kąpieli...“

Nie lepiej poszło i z królową Maryą Stuart. Niby to miała się zjawić i odpowiadać na pytania, ale się pokazało, że gdzieś się jej zapodziała głowa, którą swojego czasu kazała jej uciąć królowa Elżbieta. Bo i jakże mówić, gdy się nie ma głowy?...

Takich niepowodzeń miała Weronika więcej. Raz zachciało się jej pogadać z Hektorem (trojańskim), aby się od niego dowiedzieć, czy Helena była naprawdę taka ładna i czy w samej rzeczy tylko jabłku zawdzięczał, że ją zdobył.

Wołała Hektora raz i drugi, w rezultacie usłyszano coś podobnego bardzo do szczekania. Był zatem Hektor, ale na czterech nogach, a ona chciała dwunożnego!

Odtąd będzie już inaczej, a to dzięki owej maszynce Edisona, która zrobi ogólny przewrót na tym i na tamtym świecie.

Gdy wiadomość o tym genialnym Edisonowskim wynalazku pojawiła się w „Kuryerze“, oświadczyła Weronika kategorycznie, że niech się dzieje, co chce, a ona musi mieć taką amerykańską maszynkę, choćby nawet kosztowała i milion marek. Milion, to dziś dla nas głupstwo, gdyż mamy zamiar kupić sobie czteroprocentową „premiówkę“ i naturalnie na nią wygrać, i to, aby długo nie czekać, zaraz przy pierwszem ciągnieniu, to jest w najbliższą sobotę.

Weronika jest zdania, że wygramy (o ile się naturalnie obligacyę kupi...), śniły się jej bowiem kilkakrotnie w ostatnim czasie... baranki egipskie, a to niezawodny znak pieniędzy.

Z myślą o kupieniu takiej obligacyi nosiliśmy się obydwoje już od dłuższego czasu, w razie zaś, gdyby szczęście nam sprzyjało, mieliśmy pierwotnie zamiar kupić kamienicę, aby, jak się Weronika wyraża, „nie wycierać cudzych kątów“ i nie napędzać niepotrzebnie pieniędzy tym, którzy ich już dość mają. Obecnie zaszła tylko ta zmiana, że zamiast kamienicy ma być maszynka.

— Kamienica, to nie żaden interes — tak tłómaczyła Weronika. — Z lokatorami ciągle kłopoty i nieporozumienia, a nam na starość należy się odpoczynek...

Przyznałem jej najzupełniejszą racyę. Ona choć Ojcem świętym nigdy nie była i nie będzie, wogóle nigdy się nie myli i zawsze ma racyę, nawet wtedy, gdy jej nie ma!...

— Kupi się zatem maszynkę — mówiła dalej — Ja sobie będę rozmawiać z duchami, a ty będziesz mieć spokój... Milion chyba wystarczy... A może będzie nawet jaka reszta?...

— To już dla mnie!... — zakonkludowałem, a ona, milcząc, raczyła się na to zgodzić.

Jestem więc jak najlepszej myśli. Rozchodzi się na razie tylko o drobnostkę, skąd wziąć tysiąc marek na zakupno obligacyi, chcąc bowiem wygrać, trzeba ją nabyć! To całkiem niemądry punkt, ale bez niego nie z maszynki i ze spokoju domowego.

Sądzić należy, że się uda przecież zaciągnąć gdzieś krótkoterminową pożyczkę i kupić za nią długoterminową premiówkę. Na ten cel nie powinien nikt żałować bliźniemu pomocy, bo to i pomaga się skarbowi państwa i poprawia własną dolę.

Taka premiówka to papier bardzo dobry, jak już słychać opinię na „czarnej giełdzie“ i to nie tylko dla jakości materyału, na jakim jest wydrukowana, ale z powodu, że może posiadaczowi przynieść szczęście. Przez lat dwadzieścia co sobotę wyciąga się jeden milion i ten ze wszystkiemi zerami dostaje szczęśliwy posiadacz wylosowanego numeru. Te obligi mają bowiem to do siebie, co mają zresztą i inne papiery premiowe, że nie wszystkie wygrywają i trzeba się starać, aby trafić na „szczęśliwy“ numer, a to nie wszystkim się zdarza. Po dwudziestu latach ustają ciągnienia, zaczynają się zaś losowania obligacyi i trwają również lat dwadzieścia. Kto ma zatem szczęście, ten może już 6. listopada schować milion do kieszeni, kto zaś urodził się „z pechem“, ten nie tylko przez lat dwadzieścia nic nie wygra, ale na wylosowanie swej obligacyi będzie jeszcze musiał czekać dalszą lat dwudziestkę, to jest do ostatniego losowania, które się odbędzie od dnia dzisiejszego za lat okrągłe czterdzieści. Gdyby pan minister skarbu gwarantował bodaj takiemu „pechowcowi“, że doczeka w zdrowiu i szczęściu tego terminu, byłoby pół biedy. Ale jak tu mówić o szczęściu, gdy on ma pecha!... (Proszę źle nie zrozumieć!... Nie minister skarbu ma pecha, ale posiadacz premiówki, która w żaden sposób nie chce „wyjść“. Choć, prawdę rzekłszy, to i pan minister ma pecha!...)

Posiadacze i posiadaczki premiówek mogą być przez lat dwadzieścia z rzędu przy nadziei wygrania miliona, przez dalsze dwadzieścia wylosowania. Corocznie w październiku mogą sobie urządzać „postrzyżyny“, to jest obcinać kupony i zmieniać je na gotówkę. Przybędzie nam zatem finansistów, a zyska na tem i przemysł żelazny, potrzeba bowiem będzie nożyczek do obcinania kuponów.

Nasi finansiści, zwłaszcza ci z „czarnej giełdy“, powiadają, że to papier bardzo dobry. I mają racyę. Choćby się nawet, mając pecha, owego miliona w samej rzeczy nie wygrało, można, będąc posiadaczem premiówki, robić na złość swojemu pechowi wcale dobre interesy przez lat dwadzieścia, to jest, aż do czasu, dopóki odbywają się ciągnienia wygranych. I dlatego to także na te papiery jest pokup.

Aby zaś premiówka stała się dojną krową przez lat dwadzieścia z rzędu, robi się tak, jak kronikarza pouczył pewien „neutralny“ finansista.

Przed każdem ciągnieniem ogłasza się w kole znajomych, że za dziesięć marek można wygrać dwieście tysięcy i znajduje się pięćdziesięciu takich, którzy chcą „podać rękę szczęściu“. Ma się więc tygodniowe dochód pięćset marek i wtedy prosi się Pana Boga, aby obligacya „nie wyszła“... Jeżeli się jednak ma pecha i akurat ją wylosują, zapłaci się tamtym pięćset tysięcy, w każdym razie na otarcie łez zostaje jeszcze okrągło pół miliona. Skromniejsi robią te transakcye na mniejszą skalę, za markę, można wygrać tysiąc, a udziałów markowych sprzedają tygodniowo po sto.

Ożywił więc pan Grabski ruch finansowy, potworzyło się nawet z tego powodu sporo pokątnych banków, grających wspólnie. Właściwie karygodnem to być nie powinno, gdyż nie każdego stać na kupno całej premiówki, gdy zaś za markę wygra tysiąc, może się na zimę „oporządzić“, to jest kupić sobie pudełko zapałek, nieprzemakalne sznurowadła do trzewików oraz paczkę pasty do nich, ale takiej, pod której działaniem zabliźniałyby się dziury na obuwiu. Zostałoby jeszcze kilka marek na jaką przyjemność...

Kronikarz chce być zatem także finansistą, chce żyć nadzieją wygranej, chociaż raz w rok szczęśliwy, a może... może... założy sobie także malenkie przedsiębiorstwo bankowe...

Warunki może tymczasem na maszynkę pozwolą. Drugie wydanie będzie nawet ulepszone!...

„Raj bolszewicki" w Tarnopolu.

Wschodnie nasze kresy w ciągu sześciu lat wojny ucierpiały bardzo. My, mieszkańcy zachodnich okolic Polski, nie mamy nawet pojęcia o tych strasznych przejściach, jakie stały się udziałem tamtejszej ludności. Poprostu wierzyć się nie chce, że ci ludzie mieli tyle siły i hartu ducha, aby to wszystko przetrzymać.

Jeszcze nie odetchnął Tarnopol po gościnie hajdamackiej, gdy spadła nań bolszewicka nawała. Jakie piekło przeżyli mieszkańcy tego nieszczęśliwego miasta, wie ten tylko, kto tam był, patrzył na to i widzi ł wszystko na swoje własne oczy.

Garść faktów z czasu pobytu czerwonej armii w Tarnopolu, przedsmak tego, co czekało resztę cywilizowanej Europy, podajemy według informacyi naszego korespondenta.

Przedewszystkiem bolszewicy zaraz po przybyciu do Tarnopola ograbili zupełnie miasto. Nieszczędzili i kościołów, jedynie cerkiew pozostawili nie naruszoną.

W Tarnopolu urzędował Główny Komitet Rewolucyjny (Hal Rewkom) na całą Galicyę, a głównym jego menerem był niejaki Postrybacz Rusin, murarz tarnopolski, głównymi zaś szpiclami czerezwyczajki byli dwaj Rusini, murarz Kniczycki, oraz znany opryszek i złodziej miejscowy Teszczu. Aresztowania i rozstrzeliwania były na porządku dziennym. Urzędował sąd polowy wojskowy i cywilna czerezwyczajka.

Czerezwyczajka, która urzędowała od chwili zajęcia Tarnopola, obrała sobie siedzibę w budynku sądu okręgowego, otoczonym drutami kolczastymi i obstawionym strażą.

Na froncie gmachu, w którym krwawi czerwoni siepacze urzędowali, jakiś malarz sowiecki wymalował godła sowieckiej krwi żądnej inkwizycyi: „oko i ucho sowieckie".

Na czele czerezwyczajki stał niejaki Nowakowskij, Rosyanin, zapewne ochraniacz z czasów carskich, ale duszą tego potwornego organu był Ukrainiec sędzia Honaszewycz i Prusak v. Nasswald. Pierwszy wsławił się krwawym, morderczym osądem niewinnych obywateli złoczowskich, gdy na gruncie tego miasta w dobie inwazyi ukraińskiej w roku zeszłym skazał na śmierć bez najmniejszego powodu dwudziestu kilku obywateli — drugi Prusak v. Nasswald na służbie bolszewickiej stał się katem tych biednych ludzi, którzy przez czerezwyczajkę posądzeni o organizacyę „kontrrewolucyi" dostali się poza bramę gmachu sądowego. Pan v. Nasswald, który stale chodził ubrany w mundur i pikelhaubę pruską, szastał się ustawicznie od świtu do późnej nocy i węszył za ruchem polskim. Trzecim w tej potwornej trójcy był minister Sawka-Baral, akademik lwowski, wysoki dygnitarz bolszewickiego urzędu „Hał. rew. kom." t. j. Halyckiego komitetu rewolucyjnego. Ten, chociaż nie należał do czerezwyczajki, był jej duchowym kierownikiem, jak u siebie w domu. I wówczas rozpoczął ścigać tych, którzy mu poprzednio dłoń pomocną podali, występując z niesłychaną zaciętością przeciw „burżujom" żydowskim.

Ci siepacze stali na czele czerezwyczajki tarnopolskiej, węszącej w pierwszym rzędzie za Polakami.

Nocą przeprowadzane były rewizye i aresztowania. Wystarczał anonimowy donos, aby niewinna ofiara dostała się w szpony bolszewickich zbirów. Aresztowanego prowadzono do gmachu sądowego

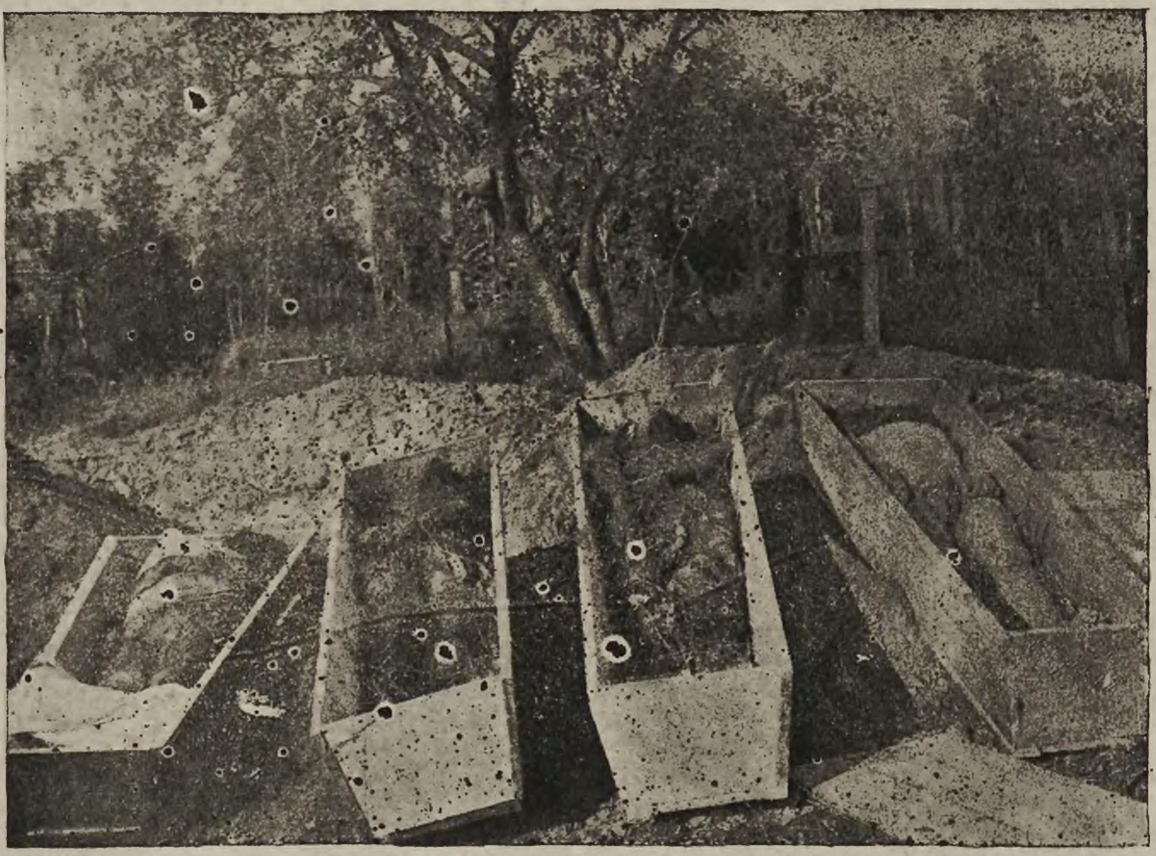


„Raj bolszewicki" w Tarnopolu: Trumny z ofiarami barbarzyństwa czerwonych zbirów, między niemi zwłoki zasłużonego wójta z Zagrobeli Muszyńskiego.

Znał teren tarnopolski, był bowiem od dłuższego czasu przed wkroczeniem band czerwonych agitatorem szpiegiem, zjeżdżał do Tarnopola, gdzie grasował pod pokrywką reprezentanta żydowskiego stowarzyszenia akademickiego „Mensa akademica" — poznał miasto i ludzi tak, że później znalazł się i poddawano przesłuchaniu, które było jedynie czczą formą. Sędzia śledczy Honaszewycz wydawał wyrok: na śmierć przez rozstrzelanie! Nie było żadnego odwołania. Żadne uczucia i względy nie były w stanie poruszyć sowieckich satrapów. Skazańca pod silnym konwojem prowadzono ul. Mickiewicza



„Raj bolszewicki" w Tarnopolu: Sala „Gwiazdy", siedziba komunistycznego Komitetu Rewolucyjnego dla Galicyi, z portretem Lenina i napisami agitacyjnymi w trzech językach. Na sali płk. Januszajtis, komendant XII dywizyi piechoty, która oswobodziła Tarnopol od najeźdźców, w otoczeniu swego ścisłego sztabu.



„Raj bolszewicki“ w Tarnopolu: Po ekshumacyi zwłok pomordowanych bestyalsko żandarmów polskich. Po zajęciu miasta przez Polaków pochowano ich uroczyście na cmentarzu miejscowym.

19 września, około w pół do 4 popołudniu. Przed wkroczeniem wojsk polskich zerwała się do boju z barbarzyńskim najeźdzcą dzielna i gardząca życiem garstka mieszkańców miasta, na której czele stanął nauczyciel miejscowy Stanisław Gottwald. Wywołali oni rozruchawkę na tyłach nieprzyjaciela i przyczynili się do tego, że bolszewicy przyspieszyli opróżnienie miasta. Wtedy wystąpiło do walki przedmieście Tarnopola, Zarudzie, gdzie na cofających się bolszewików rzuciła się samorzutnie — garść robotników i młodzieży.

Skutkiem tego wśród bolszewików powstał popłoch, który przeniósł się niebawem na ich wojska. Powstańcy zaatakowali cofającą się artyleryę bolszewicką i kozaków.

Popołudniu nastąpił tryumfalny wjazd wojsk polskich, które cała ludność, bez względu na narodowość, witała z nieopisanym entuzyazmem.

Swiętojańską na Zarudzie i dalej na łąki, położone nad stawem, gdzie mieści się przy drodze polnej browar Przewalichy. Tu na łące siepacze dokonywali strasznej egzekucyi. Zbliżał się do niewinnej ofiary zbrodni bolszewickiej kat czerwony i podawał ryskal z rozkazem, by skazaniec kopał sam grób dla siebie. Gdy dół był już do połowy wykopany, co trwało czas dłuższy, urozmaicony przez siepaczy biciem nahajkami, wówczas przemocą wsadzane skazańca do dołu i w pół go przysypywano ziemią, poczem żołdacy strzelali do biednej, nieszczęsnej ofiary, jak do celu salwami.

Tak na łąkach Przewalichy zginął z rąk bolszewickich katów zasłużony działacz narodowy na wsi podolskiej śp. Józef Moszyński, budowniczy, wójt Zagrobeli, założyciel gniazda sokolego w tej wsi, człowiek prawy i Polak dzielny. Do czerezwyczajki wpłynął donos anonimowy, że zacny ten człowiek „krzywdził jako wójt Rusinów“ — i to wystarczało, aby w zbrodniczy sposób życia go pozbawić, a za jego krwawym, męczeńskim śladem poszedł Miliszewski i wielu innych.

Dotychczas stwierdzono, że 29 ofiar padło z rąk katów bolszewickich. Tych ofiar — jak głosi opinia — jest znacznie więcej, a nawet mają one dochodzić do stu.

W gmachu czerezwyczajki bito i katowano niewinnych ludzi w nieopisany sposób. Indagacye przechodziły inkwizycye średniowieczne. Skazanych pod grozą wyroku śmierci trzymano dniami i nocami. Szpicle bolszewiccy puszczali w ruch cały szpiegowany aparat fałszywych zeznań, by omotać ofiarę w matnię bez wyjścia. Krzyki bitych i katowanych rozchodziły się daleko poza grube mury więzienia.

Propaganda bolszewicka poniosła zupełne fiasko. Mobilizacya ogólna od 18 do 40 lat, nakazana pod karą śmierci, zawiodła w zupełności. Zajęcie Tarnopola przez wojska polskie nastąpiło w niedzielę,

Krwawe rozruchy uliczne w Londynie.

Od dłuższego czasu trwa w Anglii bezrobocie górników, domagających się poprawy bytu. Rzecz chodzi się o drobnostkę, jak na angielskie stosunki, bo o podwyższenie wynagrodzenia dwa pensy dziennie, co jednak spotyka się z oporem pracodawców. Interwencya rządowa nie na wiele się zdała, bezrobocie górników stało się ogólne, odbijając się w fatalny sposób na życiu przemysłowem Anglii. Większość kolei stanąć musiała z powodu braku węgla, z tej samej przyczyny wstrzymały ruch fabryki. Liczba bezrobotnych rośnie z każdym dniem, potęguje się niezadowolenie, a większe centra przemysłowe stają się widownią rozruchów, przebiegających nieraz bardzo krwawo.



Krwawe rozruchy Londynie: Deputacya bezrobotnych, prowadzonych przez siedmiu burmistrzów przedmieść Londynu przed rezydencją Lloyda George'a.



Krwawe rozruchy w Londynie: Manifestanci uciekający przed szarżą policyi.

Nie ominęły one i Londynu, przybierając tam bardzo poważny charakter. W ostatnich dniach października z powodu demonstracyj bezrobotnych przyszło tam do ciężkich starć z policyą. 20.000 osób udało się przed ratusz, poczem 7 burmistrzów Wielkiego Londynu konferowało z Lloyd Georgem, przedstawiając mu położenie bezrobotnych. Lloyd George obiecał, że przy otwarciu parlamentu złoży w tej sprawie oświadczenie. Tymczasem tłumy, które towarzyszyły burmistrzom, objawiały coraz większy niepokój i groziły policyantom, pełniącym służbę przed gmachem ministeryalnym. Przysłane następnie dla wzmocnienia policyi oddziały zamknęły plac, na który tłumy w dalszym ciągu usiłowały wtargnąć. Ukazała się w końcu policya konna. W tym właśnie momencie ktoś z pośród tłumów rzucił nóż przez okno do biura ministeryalnego. Było to sygnałem do rozpoczęcia bombardowania kamieniami i wszelkimi możliwymi pociskami. Wiele szyb w gmachu ministeryum wybito. Tłum pociągnął następnie z czerwonymi sztandarami ku Trafalgar Square, gdzie usiłował przebić kordon policyjny. Przed pomnikiem Nelsona policyantom udało się tłum odeprzeć. Tymczasem także w przyległych dzielnicach robotniczych miasta odbyły się starcia policyantów z demonstrantami. Także w ministeryum wojny wiele szyb wybito. Nie obyło się bez rabunków. Włamano się do dwóch sklepów jubilerskich, skąd skradziono biżuteryj na sumę kilku tysięcy funtów, wobec czego policya jak najrychlej rozciągnęła opiekę nad innymi sklepami. W czasie walk ulicznych padło 120 zabitych i rannych. Około 50 policyantów odniosło poważniejsze uszkodzenia ciała. Zarządzono pewną liczbę aresztowań.

„Manchester Guardian" donosi o zajściach, które rozegrały się w niedzielę, w obszarze objętym przez strajk w Walii południowej. Policya została tam zaatakowana przez strajkujących górników, przyczem po obu stronach wymieniono strzały. Także w Walii południowej jest wielu zabitych i rannych.

Komitety strajkowe organizują oddziały posterunkowe, które strzegą wejść do kopalń i zabraniają dostępu do szybów.

„Telegraf" donosi z Londynu, że strajk w kopalniach stał się już strajkiem ogólnym. Z wyjątkiem najkonieczniejszych robót około wentylacyi i odwadniania kopalń, ruch w kopalniach węgla zupełnie zamarł. Górnicy przygotowują się do długotrwałego strejku. Z odbytych w Walii 8 min zgromadzeń kolejarzy, 7 wypowiedziało się za wyrażeniem górnikom sympatyi przez wzięcie udziału w strajku, natomiast przedstawiciele maszynistów kolejowych i palaczy oświadczyli, że oni w żadnym razie nie wezmą w takim strajku udziału, ponieważ strajk górników węglowych nie cieszy się wśród nich uznaniem.

„Daily Chronicle" oblicza, że górnicy już wskutek strajku stracili 5 milionów funtów w zarobkach. Pod koniec pierwszego tygodnia strajku kursuje już o 7000 pociągów mniej, niż zwykle, w trzecim zaś tygodniu strajku wszystkie szkoły będą musiały być zamknięte.

Mimo, iż strajk tak znacznie się rozszerzył, ludność, która na ogół nie sprzyja strajkowi, żywi jeszcze nadzieję, że żądania górników dadzą się w sposób pokojowy załatwić.

Wedle nadesłanych wiadomości z Moskwy — oświadczył Lenin na posiedzeniu sowietu, że strejk górników angielskich budzi nowe nadzieje rozszerzenia się bolszewizmu w Europie.



Krwawe rozruchy w Londynie: Policya powstrzymuje pochód bezrobotnych w stronę siedziby ministerstw.

Odkrycia najstarszych budowli
na Wawelu.

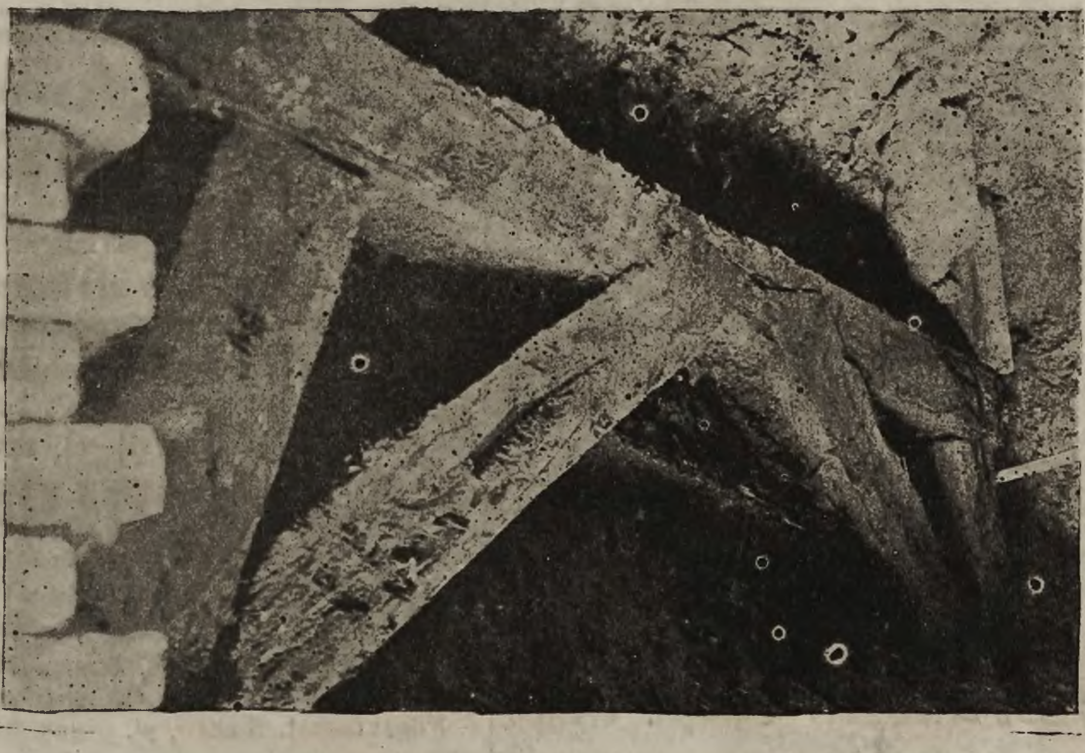
Z okazyi wzniesienia murów oporowych, otaczających zamek wawelski, natrafiono w pobliżu bramy od strony ulicy Straszewskiego w znacznej stosunkowo głębokości na ślady starodawnego wiązania mostowego. Składa się ono z grubych belek dębowych, wyglądem swym przypominających hebam, a pochodzi wedle opinii prof. Szyszko Bohusza, co najmniej z czasów króla Kazimierza Wielkiego.

Obok znajdują się pale również dębowe, na których opierał się most dojazdowy, prowadzący przez obronną fosę, której ślady są również widoczne.

Jest to niewątpliwie jeden z najstarszych zabytków naszej sztuki budowlanej, której z biegiem lat takie mnóstwo uległo zniszczeniu. Rząd austryacki władze miejskie i poszczególne jednostki siliły się poprostu na to, aby Kraków pozbył się tych ozdób architektonicznych i pamiątek, będących świadkiem jego świetnej przeszłości. Pod uderzeniem kilofów poszły w gruzy mury i baszty, otaczające miasto, prawdziwie cudem ocalała brama Floryańska i Rondel, zasłaniający widok na... Kleparz. Taki los spotkał i prywatne budynki, mogące dziś być ozdobą miasta. Jedynem marzeniem każdego obywatela krakowskiego było, aby dom jego miał „po europejsku wyglądającą fasadę" i przynosił jak najwięcej dochodu. Staroświeckie obramienia okienne i wejściowe niszczono zawzięcie, zamieniając wszystkie ubikacye parterowe na sklepy, a robota w tym kierunku szła tak zapalczywie, że nie brakowało wiele, a Kraków byłby stracił i te resztki pamiątek, przypominających swoją dawną świetność. Ona to widocznie kluje w oczy młode pokolenie, widzące, że nie dorośnie nigdy swym dziadom i pradziadom.

Przejrzano wreszcie, choć trochę za późno, w każdym razie akcya w tym celu postępuje bardzo wydatnie, powstrzymując wandalskie zapędy innych „burzymurków".

Świeżo odkryte na Wawelu wykopalisko zasypane zostało najprawdopodobniej przez Austryaków z okazyi regulowania stoków wawelskiego wzgórza przy budowie otaczających je murów.



Odkrycie najstarszych budowli na Wawelu: Drewniana konstrukcya mostu, pochodząca według opinii znawców, z czasów Kazimierza Wielkiego.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.
Ułożył J. Wolny, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy obchód przypadający na listopad:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

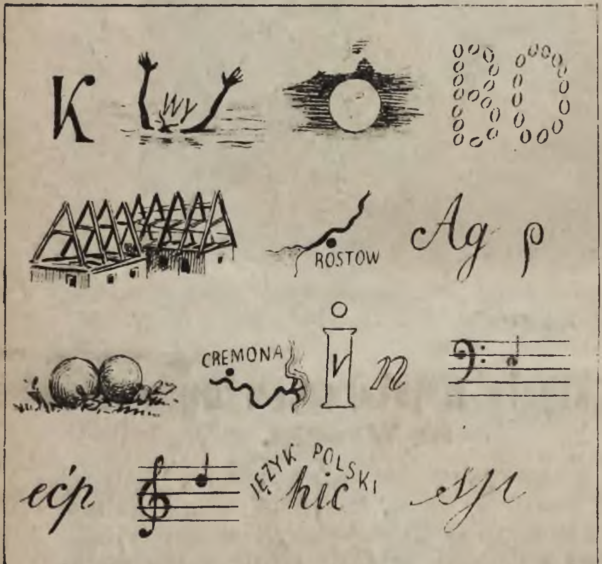
Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Część świata, 3. Miejscowość w Galicyi środkowej 4. Ciecz gorąca, 5 Dopływ Wisły, 6. Przyjaciel Mickiewicza, 7. Przyimek, 8. Samogłoska.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył M. Guliński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, ą, ą, ą, b, c, d, d, e, e, g, i, i, i, k, l, m, o, r, r, s, t, t, w, z, z.

REBUS.



Grzebieniówka.
Ułożył J. Wilczyński, Zakopane.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Francuski powieściopisarz, 2. Mała izdebka, 3. Część świata, 4. Miara długości (angielska), 5. Dopływ Wisły, 6. Posać biblijna, 7. Wyżyna w Azyi, 8. Litera grecka.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Muszyński, Sanok.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Budo! A Prus chan!

Bilety wizytowe.
Ułożył E. B., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć nazwiska polskich pisarzy:

MIECZ. WICKI.

C. O. WŁASKI.

E. LISZKA.

I. C. BUŁAK.

CZ. CYNA.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył J. Grzesiak, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko polskiego poety:

— ar
— ak
— da
— on
— an
— wa
— oe
— ki
— os
— wo

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redacya do rozlosowania dwie nagrody: 1 M. Bałuckiego: „Błyszczące nędze" (powieść), 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert.

Rozwiązanie zagadek z Nru 42

Zadanie do uzupełnienia: Men, Iwo, kot, oda, łój, aga, Jan, ryś, Ewa, jeż.

Krysztalówka: Lacea, bryła, Leygues, stuła, Ren, s.

Rebus: Coraz więcej dzieje się rzeczy takich na świecie, o których ani śnili nasi ojcowie.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Wasilewski Warszawa, L. Grodzicki Zamość, J. Kantorowicz Poznań, S. Sokołowski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, H Obst Lwów, J. Martynowicz Lwów, H Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków S. Zajączkowski Rzeszów, M Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Kaligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwow, K. Bereźnicki Stanisławów, J. Nowacki Lublin, R. Cielicka Łódź, J Martynowicz Kielce S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, W. Lasocki Kraków. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, J. Malinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Miłówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S Sęgowska Rzeszów, J. Rogoziński Biała, M. Jasińska Lwow, S. Brodziński Kraków, M. Ostrowska Lwow, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Kapłański Jasło, L. Gartner Rozwadów, H Bielecki Lwów, M Ogińska Nowy Sącz, . Dębiński Jasło, M. Lewińska Stanisławów, W. itowska Warszawa, M. Kuczyńska Kraków, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, M. Gross Wadowice, S. Bielecki Przemyśl, E. Nowotarski Węgierska Górka, I Rundstein Łódź, M. Niedenthal Rzeszów, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Kaczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, M. Mikulski Biała, W. Ostrowski Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H Galińska Tarnów (książka), J. Weber Kraków (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.